



**Dodatek do „Spójni”, nr 4/ styczeń-luty 2019/Sandomierz**

### **Drodzy Czytelnicy!**

Śnieg na dobre zniknął z naszych ulic, a wraz z nim (mam nadzieję) zimowa chandra. Na coraz dłuższe, choć, niestety, nie cieplejsze, przedwiosenne dni, oddaję w wasze ręce najnowszy numer „Sandomierskiej Strony”. W tym numerze, między innymi, echo niedawno obchodzonych walentynek, a także kolejny artykuł z serii o naszych małych ojczyznach. Miłej lektury!

Znad Wisły,  
Natalia Cygan

### ***„Las ojciec nasz”, czyli o Lasowiakach słów kilka***

Jak zapewne zauważyli Czytelnicy „Spójni”, jedną z pozycji w naszym dodatku regionalnym stały się teksty traktujące o rodzinnych miejscowościach naszych uczniów. Widać, że duma z naszych małych ojczyzn jest wciąż żywa – i bardzo dobrze. W tym artykule chciałabym zaproponować lekkie poszerzenie tego tematu, a mianowicie opowiedzieć o jednej z grup etnograficznych, zamieszkujących nasz region, do której, nawiasem mówiąc, sama mam zaszczyt należeć.

Lasowiacy, bo o nich mowa, tradycyjnie zwani Lesiokami, zajmowali, a właściwie dalej zajmują, położone w widłach Wisły i Sanu tereny Puszczy Sandomierskiej oraz, w szerszym tej nazwy znaczeniu, okolice leżące na prawym brzegu drugiej z wymienionych rzek. To właśnie puszczy zawdzięczają swoją nazwę, którą, jako jedna z niewielu grup w Polsce, sami sobie nadali.

Osadnictwo na tym terenie ma długą i barwną historię. Lasowiacy mieli swoich przodków zarówno w Mazurach z Mazowsza, jak i w osadnikach z XVI oraz niespokojnego XVII w.: Tatarach, Turkach, Szwedach, Węgrach, Rusinach i Wołochach. Jeśli chodzi o tych ostatnich, należy się może małe wyjaśnienie. Wołosi to grupa etniczna wywodząca się z Bałkanów. Zajmowali się głównie koczowniczym lub półkoczowniczym pasterstwem i wraz ze stadami owiec przemieszczali się po linii Karpat, w miarę upływu wieków osiedlając się na różnych

ziemiach, w tym na terenie ówczesnej Polski. Ślady większego lub mniejszego pokrewieństwa z Wołochami możemy znaleźć m.in. u Lemków, Bojków, Hucułów czy Podhalan oraz u kilku innych grup, głównie z terenu Podkarpacia. Pozwolę sobie przytoczyć, może nieco złośliwą, anegdotkę z „Ogniem i mieczem”, która akurat odnosi się do Wołosów zamieszkałych mniej więcej na terenach dzisiejszej Mołdawii. Skrzetuski natrafia na cytaty z książeczki pana Longinusa Podbipięty, w której obok modlitw umieszczone są rozmaite *instructiones militares* (porady żołnierskie). Jest on następujący: „Pytanie: Dlaczego jazda wołoska zowie się lekką? Odpowiedź: Bo lekko ucieka. Amen.”

Ale wróćmy do Lasowiaków. Ludzie, żyjący na terenach Puszczy Sandomierskiej, prawdę mówiąc, nie należeli do najbogatszych. Rolnictwo stało raczej na niskim poziomie, a z trudem wydarte puszczy poletka nie najżyźniejszej ziemi przynosiły plony dużo mniejsze niż np. u sąsiadów z południa - Rzeszowiaków. Ale cóż – pieniądze szczęścia nie dają. Były za to połacie lasu, a jak głosi najbardziej charakterystyczne dla naszych zaradnych przodków przysłowie: „Las ojciec nasz, a my dzieci jego – idziemy do niego”. Więc „ojciec” dawał: drewno, jagody, jeżyny, zioła, miód zbierany przez bartników (cieszących się dawniej szczególnym poważaniem), czasem też korę i żołądź, którymi można było uzupełnić niedostatek mąki na przednówku oraz zwierzynę, na którą polował w tych okolicach sam król. Nazwa miejscowości Majdan Królewski wzięła się stąd, że tu właśnie dwór królewski przybywał na łowy. Ale „ojciec” potrafił też dać bolesną nauczkę. Jak głoszą słowa jednej, może nieco frywolnej, przyśpiewki: „*Bartek wziął konia za uzdę, nie miał go kto wsadzić/ Wstyd go było, jak jałówkę, do domu prowadzić/ Chciał skoczyć na konia, potłukł sobie nogę/ A wilcy mu zabiegli jak cielęciu drogę./*”. Nazwa Wilcza Wola też nie jest bez znaczenia.

Cechą wyróżniającą Lasowiaków był też ich ubiór, w całości wykonany we własnym domu i z własnych surowców. Mimo swojej skromności, był na tyle charakterystyczny, że Lesioka poznawano od razu – czy to na targu w Rzeszowie, czy na odpuszcisku w Leżajsku. Czasem można było odnieść wrażenie, że niewiele zmienił go wpływ wieków – mężczyźni lniane koszule wypuszczali na spodnie i ściągali paskiem, sznurkiem lub rzemieniem, strój uzupełniając kapeluszem z żytniej słomy lub czapką (w rodzaju magierki) ozdobioną czterema kitkami z czerwonej włóczki, zwanych „kukurydzami”. Kobiety skromne, białe sukienki, spódnice, koszule i fartuchy czasem ozdabiała pięknym czerwonym lub czarnym haftem. Obie płcie nosiły też chodaki z lipowego łyka. Długo można by o szczegółach tych ubiorów pisać, ale najlepiej jest je po prostu zobaczyć.

Inną rzeczą, charakterystyczną dla mieszkańców Puszczy Sandomierskiej była mnogość różnych guseł i obrzędów, mających swoje korzenie jeszcze w przedchrześcijańskich wierzeniach, które bardzo często przeplatano z praktykami wynikającymi z wiary chrześcijańskiej. Bez końca można by snuć opowieści o „lotafcach”, w które „pieron bije”, o „miernikach”, które nocami błądzą po bagnach, strachach i czarcich kamieniach, rzucaniu i odczynianiu uroków, „węzłach-gospodarzach” i o leczeniu żmijowym „sadełkiem” lub wodą ze źródła, najlepiej tryskającego spod lipy...

Jednak ten świat powoli odszedł w niepamięć. A jak jest dzisiaj? Na szczęście nie wszystko przepadło. Gdzieś tam można jeszcze usłyszeć lasowiacką gwarę, która, choć może nie tak charakterystyczna jak np. góralska czy śląska, doczekała się własnego słownika. Dalej kultywowany jest zwyczaj dożynek, uświetnianych przez tradycyjne kapele. W Kolbuszowej zaś funkcjonuje skansen z przeniesionymi tam oryginalnymi budynkami, w którym odbywają się imprezy i warsztaty, poświęcone, m.in., pszczelarstwu, hodowli koni czy kuchni regionalnej (przysmakami, które szczególnie polecam są proziaki – małe placuszki pieczone na blasze oraz kapusta ziemniaczana, która, wbrew nazwie, nie zawiera kapusty, ale ziemniaki i groch).

A „ojciec”? Może ludzie nie są już tak od niego zależni, ale dalej chętnie do niego przychodzą – czy to na jagody, czy to na grzyby, czy też po prostu na spacer. Zioła mało kto już zbiera, bo wiedza ginie... Ale wciąż są drwale<sup>1</sup>, którym „ojciec” daje źródło utrzymania, leśnicy, którzy o jego stan się troszczą i koła łowieckie, które, w miarę swoich możliwości, godnie

<sup>1</sup> W gwarze lasowiackiej występuje ciekawe rozróżnienie: określenie „chłop do siekiery” oznacza silnego mężczyznę, zdolnego do ciężkiej pracy fizycznej, a „chłop od siekiery” – człowieka niewykształconego.

zastępują króla i jego łowczych. Tak więc „ojciec” ma się dobrze i, choć minęły już niespokojne czasy, gdy dawał schronienie partyzantom z AK, to dalej może je dawać - współczesnemu człowiekowi, który w tym szalonym świecie zapagnie poszukać chwili ciszy.

Na koniec pozwolę sobie przytoczyć dowcip – nie wiem, czy znany tylko w naszym regionie, czy w innych także, ale na pewno co najmniej stuletni (przekazany mi przez babcię, a jej – przez moją prababcię). A – małe wyjaśnienie – kiedyś, chcąc sprawdzić, czy chleb jest już upieczony stukano w bochenek. Gdy wydawał głuchy dźwięk, był to znak, że jest gotowy do wyjęcia. Mówiono wówczas, że chleb „puka”.

Otóż: do matki na wieś przyjechała córka. Razem wyrobiły ciasto, uformowały chleb i włożyły go do pieca, po czym matka udała się w pole po krowy, mówiąc:

- Córku, jak chleb zacznie pukać, to go wyjmij.

Po pewnym czasie wróciła, zastając chleb czarny i spalony na węgiel.

- Córku! Przecie miałaś go wyjąć!

- Matuś, przecie w drzwiczki nie pukał!

Nie wiem, czy ten żart po 100 latach kogoś jeszcze śmieszy, ale warto go zachować w pamięci – na przyszłość.

W trakcie pisania tekstu wiele informacji zaczerpnęłam z książki *Gmina Majdan Królewski: historia i współczesność* (T. Ginalska, H. Lawera, A. Bata, Krosno 2009) oraz ze *Słownika gwary lasowiackiej* (R. Gondek, Nowa Dęba 2013).

Małgorzata Kozioł

## ***Sandomierski Tristan z Izoldą czyli marzenie o wiecznej miłości***

Wydawać by się mogło, że o miłości napisano już wszystko, zaś sam jej motyw w poezji jest starszy niż świat. Począwszy od umiłowania mądrości, poprzez miłość do ojczyzny, Boga czy władcy, kończąc na miłości międzyludzkiej. Temat ten towarzyszy ludziom tak naprawdę od zarania dziejów, co poniekąd wynika z ich natury. Każdy pragnie zarówno kochać, jak i być kochanym. Co ciekawe, zależnie od epoki różnie wartościowano poszczególne kwestie związane z miłością. Niektóre z nich bywały nawet niemal zakazane, co z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się dosyć dziwne. Przykładowo, wyznawanie wiary chrześcijańskiej w pierwszych wiekach naszej ery na terenie Cesarstwa Rzymskiego mogło skończyć się równie tragicznie, jak i pozostawanie innowiercą w czasach rozkwitu chrześcijaństwa. Interesującą kwestią związaną z tym tematem jest również fakt, iż samo małżeństwo stało się sakramentem dopiero w XII wieku, zaś przez większość średniowiecza uważane było za niższą formę życia (w odróżnieniu od ascezy czy celibatu i kapłaństwa). Dopiero celtycka legenda o Tristanie i Izoldzie na stałe zmieniła postrzeganie tego uczucia przez ludzi. Za jej śladem poszło wielu autorów, czego odzwierciedleniem jest sandomierska legenda o Henryku Sandomierskim i pięknej Judycie.

Według legendy, Henryk Sandomierski, powracając w 1155 r. z rocznej wyprawy do Ziemi Świętej, przywiódł ze sobą kobietę niezwyklej urody - żydówkę Judytę. Jedyne najbliżsi towarzysze księcia mieli okazję ją ujrzeć, co zaczęło budzić niepokój w prostym ludzie. Z tego powodu owiany nimbem świętości Henryk Sandomierski nie spotkał się z powszechną akceptacją - zarzucano mu bowiem zaniedbywanie obowiązków państwowych, zaś pozycja ukochanej księżki na dworze zaczęła budzić zazdrość wśród sandomierskich możnowładców. W konsekwencji, w przypływie zazdrości, jeden z jego dawnych przyjaciół rozpuścił wieść, iż Judyta para się magią. Związek Henryka Sandomierskiego z żydówką uważano za

niebłogosławiony, zaś sam książę był nawet upominany przez biskupa oraz templariuszy sprowadzonych z Ziemi Świętej. Pomimo tego senior sandomierski nie miał zamiaru wyrzec się miłości łączącej go z Judytą. W sytuacji, gdy nad zakochanymi zawisła groźba klątwy, posłużyli się zmyślnym podstępem. W nieprzebytych lasach nieopodal grodu, we wnętrzu góry zwanej potem Salve Regina niewolnicy tatarscy zbudowali przepiękny pałac, mieszczący się kilka metrów pod ziemią. Po ukończeniu budowy wszyscy budowniczy zostali straceni. Dzień później ogłoszono, iż Judyta została wysłana do Krakowa. Radość ludu nie trwała jednak długo, gdyż od tego czasu Henryk Sandomierski zniknął na całe tygodnie. Pewnego razu książę, przewodzący wyprawie chrystianizującej Prusy, przepadł bez śladu. Ludzie szemrali, iż owładnięty magią żydówki zbiegł do niej, by pozostać z nią na zawsze. Mówi się także, że Judyta nadal pomaga swym rodakom udzielając im schronienia, tak jak miało to miejsce podczas ostatniej wojny. Inne wersje tej legendy podają również, iż Henryk Sandomierski otrzymał od swej ukochanej dar wiecznej młodości i para żyje we wnętrzu Salve Regina do dziś - wiecznie młoda i niezmiennie w sobie zakochana.

W przywołanym tekście możemy zauważyć piękne wyobrażenie miłości, co z pewnością było niejaki manifestem prostego ludu. Historia ta mogła podbudować niższe warstwy jakże hierarchicznego i podzielonego społeczeństwa, gdyż ukochana samego księcia była prostą kobietą (a według pewnych źródeł nawet była niewolnicą). Miłość, podobnie jak i śmierć, nie dzieliła ludzi na stany i dotykała wszystkich w jednakowym stopniu. Możemy tu również zauważyć widoczny konflikt miłości i honoru, obowiązków i pragnień, a także wyborów pomiędzy tym, co słuszne, a tym, co prawdziwe. Pomimo odległości, języka oraz kultury dzielącej Polaków i Celtów, odnajdujemy tu wiele podobieństw do legendy o Tristanie i Izoldzie. Główna oś kompozycyjna, brak akceptacji ze strony dworu, magia czy znikające pałace. Te względnie naiwnie zestawione ze sobą kwestie sprawiają, że oba teksty są nieśmiertelne w swej prostocie, zaś użyte wzorce na zawsze pozostaną aktualne.

Jakub Maksim

*Czy wiesz, że ...*

***Błogosławiony Wincenty Kadłubek jest patronem Sandomierza?***



Tak, Mistrz Wincenty od momentu podpisania przez papieża Klemensa XIII odpowiedniego dokumentu, który w rzeczywistości równał się formalnej beatyfikacji, jest patronem archidiecezji warmińskiej, diecezji kieleckiej oraz naszej - sandomierskiej. Urodził się około 1150 lub 1160 roku, najprawdopodobniej we wsi Karwów koło Opatowa. Obecnie miejscowość ta słynie ze źródelka imienia Błogosławionego, którego woda ma ponoć właściwości lecznicze. Źródelko to bije w miejscu, gdzie według przekazów miał stać dom, w którym urodził się błogosławiony Wincenty. Był mądrym i chętnym do nauki dzieckiem, które unikało zabaw z lekkomyślną młodzieżą. Tak więc, dzięki swojej ciężkiej pracy, Wincenty zdobył, rzadki w jego czasach, tytuł mistrza czyli magistra na uniwersytecie w Paryżu lub Bolonii. Po powrocie na ziemię ojczystą przyjął święcenia kapłańskie.

Jako jeden z niewielu szczycił się wspaniałymi cechami, jakie w dzisiejszych czasach należy doceniać. Z ogromnym zapałem serca zajął się powiększeniem chwały Bożej. Nawoływał do prawdziwej pobożności, skłaniał do skruchy i niesienia pomocy bliźnim, udzielał zdrowych rad, pocieszał strapionych i pomagał tym w największej potrzebie czy smutku. Wiedząc o tym, nie należy dziwić się, dlaczego to właśnie Kadłubek jest patronem ziemi sandomierskiej.

Wincenty Kadłubek pełnił funkcję prepozyta w kolegiacie Najświętszej Marii Panny w Sandomierzu (dzisiejszej katedrze). W roku 1207 wybrano go na biskupa krakowskiego, jednak po pewnym czasie zrezygnował z tego stanowiska. Prawdopodobnie powodem było to, iż nie mógł realizować reformy papieskiej Kościoła wobec oporu ze strony duchowieństwa i możnowładców polskich. Wincenty, szukając swojej dalszej drogi, wybrał życie zakonne w klasztorze Ojców Cystersów w Jędrzejowie koło Kielc. Dodatkową ciekawostką jest to, że realizował w zakonie zasadę ascetyczną: „Bogu wszystko - sobie nic”. Należy wspomnieć, iż w tym miejscu nasz utalentowany patron mógł dokończyć swoje jedyne dzieło – *Kronikę polską* (*Chronica Polonorum*). Jest to wspaniałe, ponadczasowe dzieło, w którym Błogosławiony nakreślił historię Polski od czasów pradawnych po rok 1202. Kronika pisana jest po łacinie i składa się z czterech ksiąg. Autor zebrał w niej wszystkie podania i mity o początkach Polski. Oczywiście, dużo jest w niej poetyckiej fantazji, ale są także ważne ziarna tradycji. Z tego właśnie powodu zawiera w sobie treści uniwersalne, dopasowane do każdej z epok. Kadłubek, zapadłszy w ciężką chorobę, którą znosił z cierpliwością, zmarł 8 marca 1223 r. W latach 1583-1640, na podstawie ksiąg klasztornych przytaczano ponad 150 cudownych przypadków, jakie miały zdarzyć się przy grobie Wincentego Kadłubka. Jego ciało przeniesiono uroczystie z jędrzejowskiego kościoła do katedry wawelskiej do kaplicy biskupa Piotra Tomickiego, gdzie spoczywają do dzisiaj. Warto wspomnieć także, że 26 kwietnia 1633 roku dokonano otwarcia grobu Wincentego. Ciało znaleziono prawie nienaruszone, co przyczyniło się do rozbudzenia jego czci.

Obecnie u stóp sandomierskiej katedry stoi kamienna figura błogosławionego Wincentego Kadłubka pochodząca z 1870 roku. We wnętrzu świątyni jeden z bocznych ołtarzy poświęcony jest Wincentemu. Znajdują się na nim relikwie Błogosławionego oraz obraz przedstawiający cudowne widzenie Wincentego Najświętszej Marii Panny. Zawsze w drugą niedzielę października Sandomierz może poszczycić się uroczystościami odpustowymi ku czci Błogosławionego. W pobliskich zaś Andruszkowicach znajduje się figura Błogosławionego starsza od sandomierskiej.

Dzieje patrona diecezji nierozzerwalnie wiążą się z Ziemią Sandomierską, o czym warto pamiętać. Dbał o jej rozwój duchowy, dlatego też fakt, iż jest patronem Sandomierza, z pewnością powinien napawać dumą mieszkańców tej ziemi.

Agata Smyła

# SANDOMIERSKIE SKARBY

## *Lipy św. Jacka*



Skarbami możemy nazwać nie tylko drogocenne klejnoty, korony władców czy relikwie świętych, ale i pomniki przyrody. Osobliwości natury mogą być bardzo cenne, nie tylko ze względu na swoje piękno, ale także dlatego, że wiążą się z nimi niezwykle historie. Sandomierz taki skarb posiada i są nim rosnące do góry korzeniami lipy św. Jacka. Za pochodzeniem tych cudownych drzew kryje się wdzięczna i jednocześnie moralizatorska opowieść.

Otóż św. Jacek Odrowąż, który wędrował do Włoch i przyjął święcenia z rąk samego św. Dominika, w 1226 roku został przysłany przez swojego stryja, biskupa krakowskiego, Iwo Odrowąża do Sandomierza. Jego misją było wybudowanie klasztoru i świątyni dla zakonu dominikanów. Jacek, szukając odpowiedniego miejsca, upatrzył sobie urokliwe wzgórze, na którym mogłaby rosnąć winorośl. Z owoców tej rośliny zakonnicy tłoczyliby wino mszalne. Przeszkodę stanowił jedynie bezbożny właściciel owego miejsca, Konrad, którego żadne prośby nie zdołały przekonać, by plac oddał. Wreszcie wymyślił on pewien zakład, który zdeterminowany św. Jacek oczywiście przyjął. Miał on za zadanie posadzić dookoła placu lipy do góry korzeniami, a wtedy będzie mógł dostać ziemię Konrada za darmo. Musiały one jednak nie tylko się przyjąć, ale i zakwitnąć tak, aby pszczoły chętnie do nich przylatywały. Św. Jacek znany był już wcześniej z cudów, więc i tym razem jego prośby do Boga zostały wysłuchane. Konrad wypełnił swoją część zakładu i oddał wzgórze. A pszczoły nie tylko zrobiły miód lipowy, ale i pokęsały Konrada tak, że ten niedowiarek utracił wzrok. Odzyskał go tuż przed śmiercią, by zobaczyć wybudowany kościół św. Jakuba i klasztor – siedzibę dominikanów.

Z wiekiem korzenie lip zamieniły się w intrygująco powyginane konary i do tej pory zdobią plac wokół kościoła św. Jakuba. Dwie z nich to prawdziwe staruszki – pomniki przyrody. Ten, jako jeden z nielicznych skarbów, mamy okazję dotknąć i pod palcami poczuć prawdziwe uosobienie legendy.

Zuzanna Pastuszka

---

**Redakcja** Natalia Cygan – redaktor naczelna, Julia Kozakiewicz, Joanna Nowakowska, Małgorzata Pękalska, Wiktoria Pińkowska, Agata Smyła **Współpraca** Małgorzata Koziół, Jakub Maksim, Zuzanna Pastuszka **Projekt winiety** Jakub Cupisz **Składanie tekstu** Weronika Ramus **Opieka** Renata Stawowy